

Perspektywa powietrzna

Droga ciągnęła się godzinami.
Pola pszenicy bez początku i końca, nakrapiane na
czerwono i niebiesko.
Chmury nad horyzontem jak śpiące hipopotamy.
Wkładałam rękę, małe spocone zwierzątko, w wielką dłoń ojca.
Kłulałam go pierścionkiem z motylem.
Las pełen skarbów,
maślaki z sosnową posypką, szmaragdowe butelki
i drobne czaszki jeleni.
Przerażała mnie ich gładkość.
Ojciec wyjaśniał, że to dzięki mrówkom,
i wyciągał z wojskowego plecaka
owinięte w folię kawałki bloku czekoladowego.
Jadłam ich tyle, że zaczynało mnie mdlić.
A potem stawałam na palcach i wyciągałam ręce
wysoko do nieba,
żeby motyl z pierścionka mógł odfrunąć.
W katedrach drzew dzieciół wybijał godziny.
Biły dzwony, na życie.

A więc ta tasiemka, ta nitka, to droga, którą pamiętam?
A więc ten zagajnik to las?
A więc ta chatynka, ta budka, to tamten dom?
Przysiadam nieśmiało na brzegu sofy.
Nie syp tyle cukru, Alicjo – strofuje mnie ojciec.
A w każdym razie ktoś, kto się podaje za ojca.
Muszę kucnąć, żeby słyszał, co do niego mówię.
Gdzie jest kot? – pytam.
– Nie żartuj – odpowiada i wskakuje mi na kolana. – Zjedz lepiej coś.
Na talerzyku leżą kawałki burej czekoladowej masy.
– Zawsze lubiłaś blok czekoladowy – mówi.
Czekolada pokryta jest dziwnym, szarym nalotem,
jednak posłusznie kładę kawałek na języku i pozwalam sobie poczuć tamten
smak.

Dopiero w domu rozpakowuję prezent.
«Dzieciństwo» – zestaw do zabawy. Domek dla lalek
z wyposażeniem. Elementy w transporcie
poprzemieszczały się, porzrzucały.
Zajmuje mi trochę czasu, żeby to wszystko poukładać. Figurka ojca. Jego
miniaturowe okulary,
„Express Wieczorny” z cienkiego pergaminu.
Garnuszki i filiżanki wielkości paznokcia.
Mały telewizor na okrągłą baterijkę, w którym Isaura
w geście przerażenia podnosi rękę do ust.
Plastikowy kot oklejony prawdziwym futrem.
W końcu znajduję, wciśniętą w kąt, małą figurkę
z jasnymi lokami,
trochę się poobtlukiwała,
a talerzyk, który trzyma w ręku jest pusty.
Ale nadal się uśmiecha,

jeszcze na miejscu,
jeszcze do kompletu.

Suchy ocean

Jak bolą te przestrzenie bez dotyku.
Godziny sprawdzane zbyt często.
Aborcja słów.

W oddaleniu, na drugiej krawędzi łóżka
pryciska brzuch do prześcieradła,
a puste pomiędzy gęstnieje jak wata.

Twardnieje w tym bólu na kamień.
Twardnieje na własny pomnik.

A więc nie zmartwychwstaną, chociaż jeszcze żywi.
Nie zmartwychwstanie między nimi
nawet ta ostatnia godzina.

Chciałaby krzyczeć, że nikt jej nie uprzedził,
że każdy pierwszy raz jest przecież zapowiedzią końca, że każde narodziny
noszą w sobie śmierć.

Chciałaby krzyczeć, że nikt jej nie uprzedził,
że jej piersi mogą okrągleć tylko pod jego dłońmi,
że jej uda mogą jaśnieć tylko pod jego spojrzeniem.
Dotyka swoich piersi i ud.
Są ciepłe i suche jak spękana ziemia.
Albo jak nagrzane słońcem kości.

Chciałaby krzyczeć, że nikt jej nie uprzedził,
że będzie leżała obok niego miesiącami bez snu
horyzontalna, ale bez horyzontu.

Nawet cienkiej kreski, nie mówiąc o statku,
nawet dziecięcego koła do pływania.
Jak martwa foka, którą ocean wyrzucił na brzeg.

I wtedy z przerażeniem zauważa,
że tam, gdzie kiedyś były palce, dłonie,
są tylko suche, twarde źdźbła trawy,
zaczyna wtapiać się w palony brąz ziemi,
zarasta.

I wtedy rozumie, że taką dano nam ziemskość,
taką wieczność,
suchy ocean bez horyzontu
i ciągnące się nieskończenie drogi
wyschniętego krwiobiegu.

Przystanek łąka

*W niektóre miejsca
nie powinno się wracać...*

Nie wiem, po co tam pojechałam.
Ostry zapach skaju, nieumytych mężczyzn,
paragon zamiast biletu.
Przystanek łąka.
To tutaj, to kiedyś.

Rozchylam sierść traw
szukając ciepłego ciała ziemi,
dotykam nieba rozpalonego rumiankami gwiazd
i nagle ta ziemia, te trawy pachną tobą.

Nie wiem już, gdzie jest góra, gdzie dół,
gdzie niebo, gdzie ziemia,
i nie wiem, czy to trawa tak kłuje, czy twoja broda.
Śmiałam się, że wszystko w niej jest,
teraz też znajduję: paperek po cukierku i małe ptasie
gniazdo.
Połknąłeś słońce, które wciąż grzeje pod twoim pępkiem.
W nagłym drzeniu sięgam dłonią daleko
i zginałam delikatne makowe płatki na miazgę,
potem umaluję się nimi dla ciebie jak szminką.
Ale świat się rozjaśnia, niechciany,
mrużę oczy –
coś zasklepiło się, stwardniało.

Niespokojnymi rękami rozgarniam trawy i rumianki,
kopię w piachu palcami,
rozrywam jak piezzonego kurczaka,
oszałała z głodu.

I modłę się, żeby rozstąpiła się ziemia
i przywróciła mi ciebie, jak ocean wypluwa
wraki statków, gumowce i meduzy,
ale tam, pod zielonym niebem pełnym rumiankowych
gwiazd,
tylko białe i ciepłe kości
innych kochanków.

To nie sezon na leżaki

Najgorętszy sierpień od dziesięciu lat – informuje mnie sąsiad.

Najsmutniejszy sierpień – odpowiadam, ale niedosłyszysz.

Sobota nie martwi się temperaturą ani złymi snami,
płynie.
Tonę w ciepłej wannie i postanawiam coś zrobić z nią,
ze sobą.
Kupię leżak i parasol.
I będę pić mocną kawę z zimnym lodem, na balkonie.
Z balkonu nie słyszeć, że nikt nie dzwoni.

W Ikei dostaję orgazmu od klimatyzacji, jem klopsiki,
kupuję zestaw do wysiewu ziół, komplet pojemników
Hemsmak
i roślinę o nazwie *Cycas rezoluta*.
Znudzony mężczyzna parska śmiechem,
BO to nie sezon na leżaki.
Są krzesła ogrodowe, w promocji, trzydzieści dziewięć
dziewięćdziesiąt,
tanio wychodzi ta moja pojedynczość.

Wracam przez Warszawę oszołomioną upałem.
Nagle wszystko nieruchomieje,
nawet kudłaty pies sąsiada leży z pyskiem jak maska.

Godzina zero.

Między drzewami miga sylwetka mężczyzny.
W jego stronę biegnie młoda dziewczyna.
Przywierają do siebie brudni, przerażeni i martwi.
Jakże im zazdroszczę.

Tramwaje ruszają,
piwa w reklamówce brzęczą,
pies podnosi łeb.

Siedzę potem na balkonie,
na twardym, pasiastym krześle ogrodowym,
myśląc, że to nie sezon na leżaki,
ani nie sezon na miłość
i wypatrując tej dwójki
do bólu w osłepionych słońcem oczach